Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu

CARLO GOLDONI

Carlo Goldoni

SŁUGA DWÓCH PANÓW

IL SERVITORE DI DUE PADRONI

Przekład Jerzy Adamski

W DWUSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI AUTORA

Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu

CARLO GOLDONI

Carlo Goldoni

SŁUGA DWÓCH PANÓW

IL SERVITORE DI DUE PADRONI

Przekład Jerzy Adamski

W DWUSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI AUTORA

Premiera 31 grudnia 1993

Sezon 1993/94

Dyrektor naczelny i artystyczny
Eugeniusz Korin

Zastępca dyrektora
Michał Chojara
Kierownik literaci
Milan Kwiatkowski

Osoby

Truffaldino, sługa dwóch panów	Mirosław Kropielnicki
Pantalone dei Bisognosi	Mariusz Puchalski
Klarysa, jego córka	Grażyna Korin
Doktor Lombardi	Aleksander Machalica
Sylwiusz, jego syn	Mariusz Sabiniewicz
Beatrice z Turynu	Antonina Choroszy
Florindo Aretusi z Turynu	Paweł Binkowski
Brighella, oberżysta	Wojciech Standełło
Smeraldina, pokojówka Klarysy	Daniela Popławska
Bagażowy	Paweł Hadyński
Kelner	Ildefons Stachowiak
Pokojowy	Andrzej Lajborek

Rzecz dzieje się w Wenecji

Reżyseria	ROMAN KORDZIŃSKI
Scenografia	ZBIGNIEW BEDNAROWICZ
Kostiumy	IZABELA KONARZEWSKA
Asystent reżysera	Dorota Kuczyńska-Standełło
Inspicjenci	Jadwiga Figiel-Idziak
	Dorota Kuczyńska-Standełło

W spektaklu wykorzystano fragmenty ludowej muzyki weneckiej

Wielcy "klasycy". Giganci kultury uważani są przez niektórych za bezwartościowe przeżytki. Dla mnie stanowią oni ciągłość myśli i problematyki ludzkiej, którą należy każdorazowo odkrywać na nowo, we współczesnym kontekście i dla współczesnych ludzi. Osobiście akceptuję termin "klasycy" wyłącznie w odniesieniu do tych, którzy mimo upływu czasu wciąż pozostają obecni, "nieustannie uaktualniają się".

Z książki

Giorgio Strehler, *O teatr dla ludzi*
Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1982

Goldoni pochodził z zamożnej elity weneckiej, był człowiekiem wszechstronnie, choć niekonwencjonalnie wykształconym, znał świat, bo wiele podróżował, mieszkał i pracował w różnych włoskich miastach jako adwokat, dyplomata, pisarz. Widział ten świat takim, jakim był (jakim jest), stąd jego nonkonformizm. Miał więc wrogów i to zaciekłych, zaciekłe też sam toczył z nimi boje. Z tego powodu przechodził ciężkie kryzysy nerwowe, zwłaszcza kiedy wszystko obracało się przeciwko niemu. Właśnie taki kryzys i to wieloletni dręczył go w tym czasie, kiedy przygotowywał do druku tekst komedii *Sługa dwóch panów*.

Jest to tekst dla czytelnika, nie dla sceny, a już zwłaszcza nie dla tradycyjnego aktora komedii dell'arte, czyli improwizowanej. Tekst dla aktora gotów był siedem lat wcześniej, kiedy Goldoniego *Sługę dwóch panów* (pomysł przejęty od Francuzów i od Hiszpanów) grano w Mediolanie. Dla książkowego wydania weneckiego Goldoni przygotował tekst obszerny, rozgadany, rozpadający się na liczne epizody, potrzebne i sensowne, lecz być może nazbyt rozbudowane, czy nazbyt pedantycznie dokładne, zanadto szczegółowe. Ale szło o to, aby uwydatnić w druku językową wirtuozerię autora, komizm kontrastu mowy uczonej, a emfatycznej i mowy pospolitej, a wulgarnej; mowy sztucznej w swej poprawności i mowy naturalnej, więc pełnej błędów. Ale tym sposobem uwydatniał się inny jeszcze kontrast: psychologiczny, a nawet charakterologiczny, między postaciami tej komedii, których zdradza sam sposób mówienia: bądź to prostacki, kupiecki, bądź wykrętny i adwokacki, bądź naiwny i szkolny. Tak wytwarza się w tej komedii komizm kontrastu pokoleń, kontrastu młodości i starości, i komizm kontrastu między ludźmi niezależnymi i zależnymi, komizm "pana i sługi".

Wszystko to Goldoni zawarł w mieszanej mowie swego czasu i swego miasta: w zestawieniu dialektu weneckiego z włoskim językiem literackim. Czy da się to przenieść do polszczyzny i to o dwieście lat późniejszej?

Tak: tworząc podobne kontrasty językowe, tyle że właściwe polszczyźnie naszego czasu. A więc właściwe naszej mowie codziennej, prowincjonalnej, i tej uczonej, literackiej, ogólnopolskiej; tej urzędniczej i tej młodzieżowej; tej salonowej i tej chamskiej. Tyle, że te kontrasty mowy polskiej inne są w Poznaniu, a inne w Krakowie, Warszawie, Białymstoku. Tekst komedii w tłumaczeniu może je zasugerować, tak jak je sugeruje w oryginale, lecz lokalną trafność, a i pełnię tych komicznych kontrastów językowych (a wraz z nimi i wszystkich innych) na dobre wydobyć potrafi tylko aktor.

I to już w pierwszej scenie, która po mistrzowsku, a zwięźle, a gwałtownie, zawiązuje akcję, ukazując konflikt, przedstawia postacie i uzmysławia od razu, skąd się bierze komizm tej intrygi scenicznej. I z jakim światem mamy tu do czynienia.

Widz powinien natychmiast pojąć, iż rzecz jest o tym, jak w Wenecji skorzystać i zarobić na śmierci pewnego młodego kupca, zamordowanego w Turynie (400 km w linii prostej). I że skorzystać chce każdy, kto wychodzi na scenę tej komedii: świadomie i bezpośrednio, lub nie — ale każdy. Na tym właśnie polega mistrzostwo komediopisarza.

Ale na tym też polega moralność świata, który on przedstawia. Bo oto: rodzona siostra zamordowanego chce jak najspieszniej wyjść za mąż za jego zabójcę, a i on tego chce, bo po to zabił, a zaś narzeczona zamordowanego chce w podobny sposób skorzystać z jego śmierci i jak najspieszniej wyjść za mąż za przybocznego kochanka, czego chce także i on, bo dziewczyna jest bogata, lecz przede wszystkim jego ojciec tego pragnie, bo opłaci mu się związać z wpływowym, choć chamskim, ale przebogatym ojcem dziewczyny, który wprawdzie chciał ją wydać za zamordowanego, bo robił z nim dobre interesy, lecz teraz liczy na to, że wskutek tej śmierci wierzytelności przepadną (Turyn jest daleko), a córkę i tak wyda się korzystnie. Jednakże traf chce... ale nie, nie: nie zdradzajmy niespodzianki.

Dość, że od chwili, kiedy kurtyna się uchyla, tkwimy oto w świecie interesu, gdzie jedyną wartością moralną jest zysk własny, gdzie panuje konkurencyjna nieufność, podstęp, oszustwo, gdzie wszystko jest wyrachowaniem, a śmierć i zbrodnia takim samym wydarzeniem, jak każde inne: ani dobrym, ani złym, pytanie tylko, czy można na tym jakoś skorzystać?

Nasze natomiast pytanie brzmi: co w tym tak śmiesznego, że Goldoni zrobił z tego komedię?

Odpowiedź: jak to co? Ludzie!

w październiku 1993

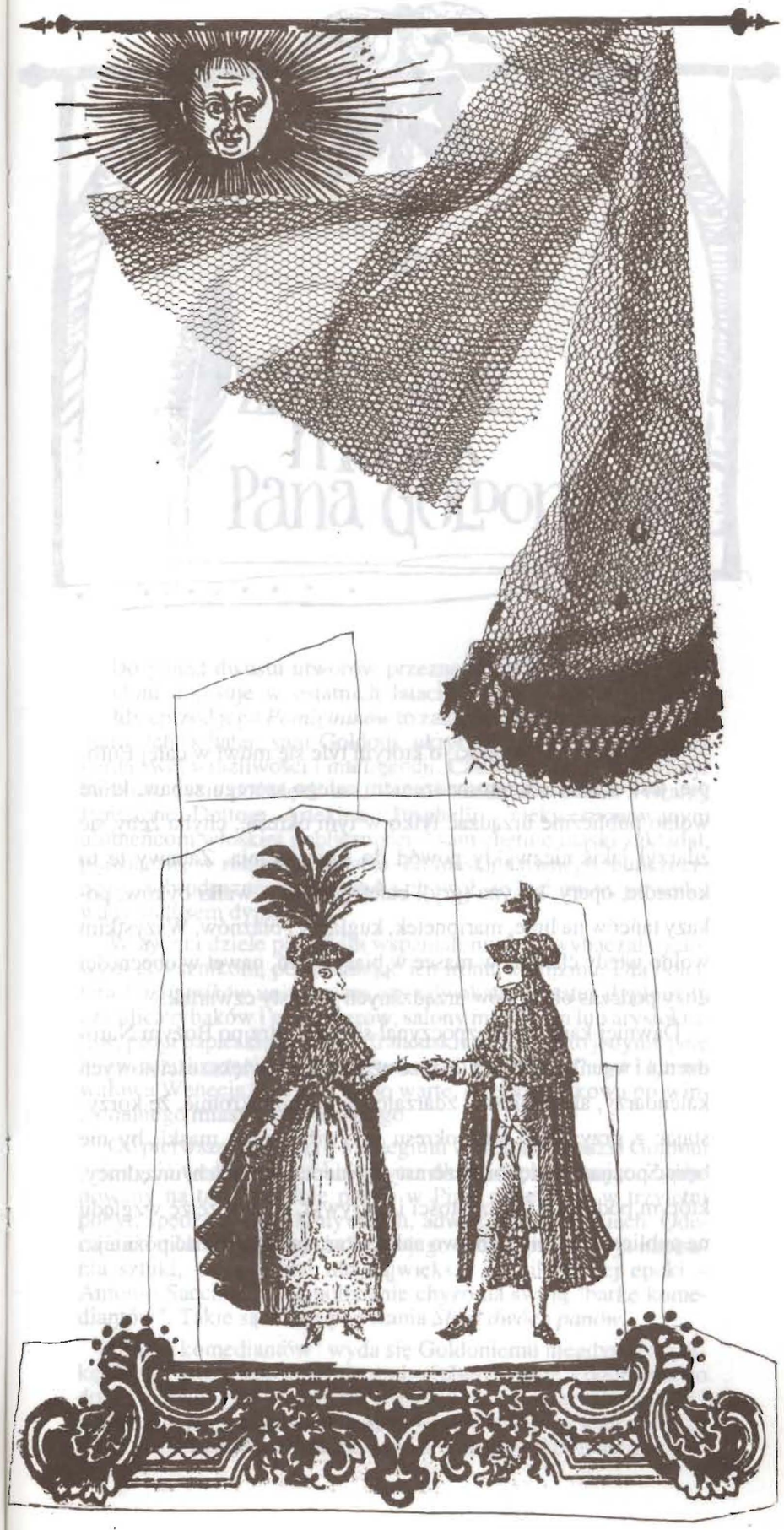

KARNAWAŁ wenecki, o którym tyle się mówi w całej Europie, jest w istocie nagromadzeniem całego szeregu zabaw, które wolno publicznie urządzać tylko w tym okresie, chyba żeby się zdarzył jakiś niezwykły powód do świętowania. Zabawy te to komedie, opery, kasyna (gry), balet, pochody, walki byków, pokazy tańców na linie, marionetek, kuglarzy i błaznów. Wszystkim wolno wtedy chodzić w masce w biały dzień, nawet w obecności doży podczas obchodów urządzanych w tłusty czwartek.

Dawniej karnawał rozpoczynał się nazajutrz po Bożym Narodzeniu i w ten sposób jest jeszcze oznaczany w większości nowych kalendarzy, ale ponieważ zdarzało się niejednokrotnie, że korzystając z przywileju tego okresu przywdziewano maski, by nie będąc poznanym dokonać zemsty na nieprzyjaciołach, urzędnicy, którym podlegają uroczystości i rozrywki, uznali, że ze względu na publiczne bezpieczeństwo należy karnawał zaczynać później...

Z książki

Anna Szweykowska, *Wenecki teatr modny*, PWM, Kraków 1981

Do ponad dwustu utworów przeznaczonych dla teatru, Carlo Goldoni dopisuje w ostatnich latach swego życia drugie tyle. Każdy epizod jego *Pamiętników* to zalążek nowego komedio-dramatu. Ich bohater, sam Goldoni, ukrył się w nich za podwójną gardą swej wrażliwości i inteligencji. Człowiek, który całe swoje burzliwe życie poświęcił mozolnemu zdzieraniu masek z twarzy Pantalone, Dottore, Arlekina i Brighelli – niekwestionowanym ulubieńcom włoskiej publiczności – sam chętnie maski zakładał, pławiąc się w rozkoszach życia. Za maską naiwnego, buńczucznego, dobrodusznego romantyka chował się być może, powodowany statusem dyplomaty.

W życiu i dziele pisarskim wspaniałomyślnie wybaczał życiowym grzesznikom, poskramiając ich ironią komizmu. Dla bohatera *Pamiętników* uniwersytet czy adwokatura, status dyplomaty czy ulica rybaków i gondolierów, salony mieszczan lub arystokratów, progi papieskie czy dwór francuskiego króla – to jedynie pole bitew roziskrzonej fantazji i wyobraźni. Ruchliwy Paryż i karnawałowa Wenecja były tyle samo warte, co uboga alkowa prowincjonalnego miasteczka włoskiego.

Od pierwszej ucieczki – z kolegium w Rimini – będzie Goldoni całe życie wędrował, raz krócej, raz dłużej odpoczywając. Zaplanowany na trzy tygodnie postój w Pizie zmieni się w trzyletni pobyt, spędzony na lukratywnych, adwokackich zajęciach. Oderwie od nich Goldoniego i zburzy jego spokój propozycja napisania sztuki, którą złożył mu największy komik tamtej epoki – Antonio Sacchi. Za nią pobiegnie chyżo na swoją "barkę komediantów". Takie są dzieje powstania *Sługi dwóch panów*.

"Barka komediantów" wyda się Goldoniemu niegdysiejszą arką Noego, która ocali jego talent, choć zburzy życie. Podobieństwo do arki Noego przywołuje nie ptaszki i zwierzątka, lecz aktorki i aktorów. Zdesperowany hałaśliwą wesołością trupy teatralnej kot skoczy z masztu w otchłań morską i utonie przy akompaniamencie

szlochów histerycznej primadonny, jego właścicielki. W końcu jednak i ona roześmieje się, a kot zostanie zapomniany.

Kołysząca arka – "barka komediantów" popłynie wraz z Goldonim dalej pośród grozy i wesołości, przy dźwiękach serenad, zapachu spaghetti i woni wina – dolce vita! Być może, wchodząc do "fabryki snów" Cinecitta, inny Wielki, Federico – Czarodziej – Fellini dwieście lat później podobnie odczuł i zapamiętał "barkę komediantów" nowoczesnej epoki.

Ta sama ojczyzna, Italia, ta sama dekadencja późnego baroku i schyłku dwudziestowiecza.

Roman Kordziński

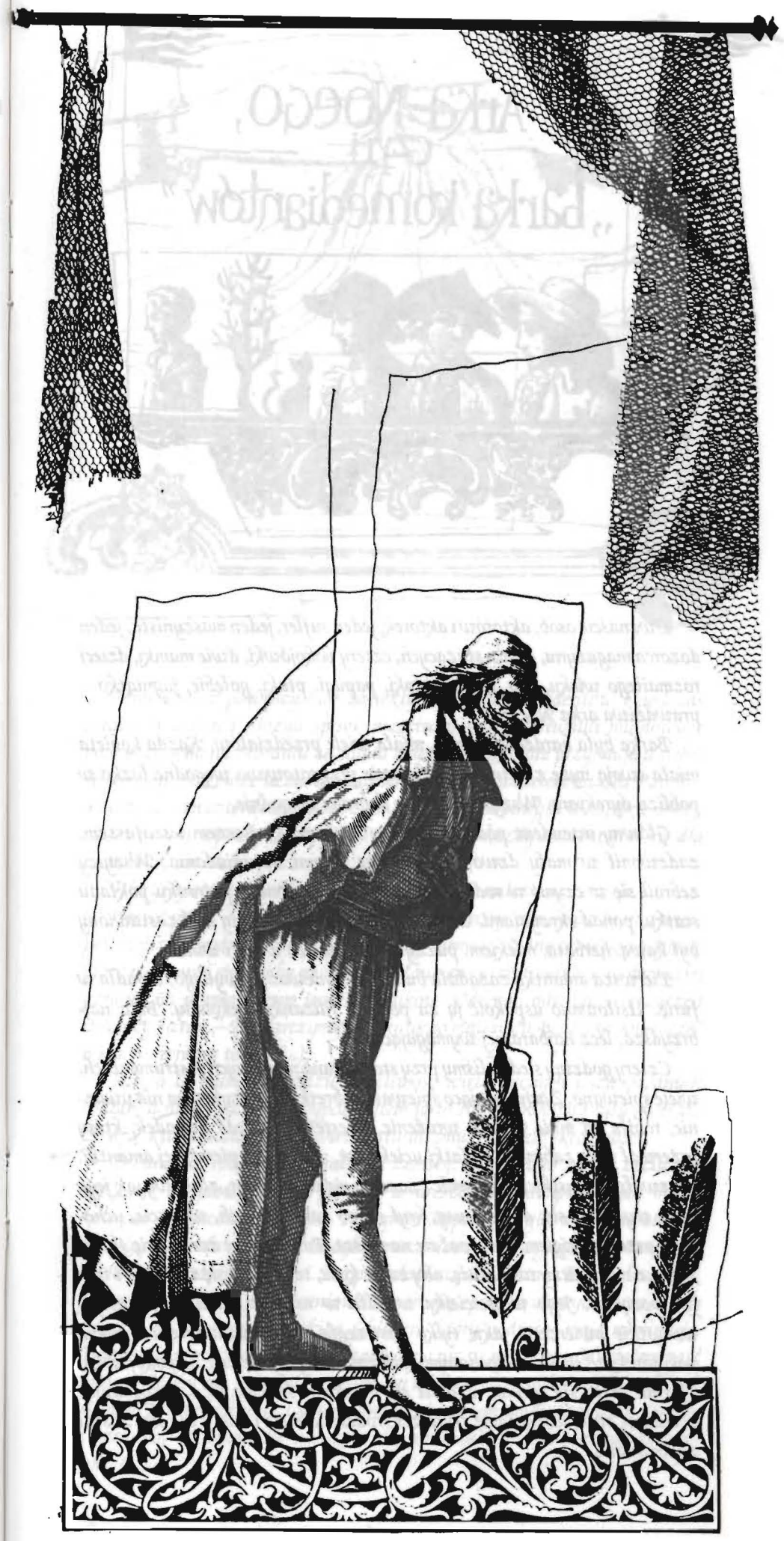

Dwanaście osób, aktorów i aktorek, jeden sufler, jeden maszynista, jeden dozorca magazynu, ośmiu służących, cztery pokojówki, dwie mamki, dzieci rozmaitego wieku, psy, koty, małpki, papugi, ptaki, gołębie, jagniątko – prawdziwa arka Noego.

Barka była bardzo obszerna, miała wiele przedziałów. Każda kobieta miała swoją nyżę z kotarami. Dla mnie przygotowano wygodne łóżko w pobliżu dyrektora. Wszyscy czuli się dobrze i wygodnie.

Główny intendent podróży, będący zarazem kucharzem i szafarzem, zadzwonił w mały dzwoneczek, dając sygnał do śniadania. Wszyscy zebrali się w czymś w rodzaju saloniku, urządzonego pośrodku pokładu statku, ponad skrzyniami, walizami i tobołami. Owalny stół zastawiony był kawą, herbatą, mlekiem, pieczywem, była też woda i wino.

Pierwsza amantka zażądała bulionu. Ponieważ nie było go, wpadła w furię. Usiłowano uspokoić ją za pomocą filiżanki czekolady. Była najbrzydsza, lecz najbardziej wymagająca.

Cztery godziny siedzieliśmy przy stole, grano na różnych instrumentach, wiele śpiewano. Zachwycająco śpiewała subretka. Patrzyłem na nią uważnie, robiła na mnie wielkie wrażenie. Niestety! zaszedł wypadek, który przerwał miłą zabawę. Z klatki uciekł kot, ulubieniec pierwszej amantki. Wezwała wszystkich na pomoc i zaczęła się pogoń. Kot, złośliwy jak jego pani, wymykał się, dawał susy, krył się po zakamarkach, wreszcie, uchodząc przed pościgiem, wdrapał się na maszt. Pani Clarice zrobiło się słabo. Jeden z marynarzy wspiął się, aby zdjąć kota, ten rzucił się w morze i tam już pozostał. Jego właścicielka wpadła w rozpacz. Chciała pozabijać wszystkie zwierzęta, jakie tylko dostrzegła, zamierzała wrzucić swoją pokojówkę w ślad za ukochanym kotkiem, wszyscy ujęli się za pokojówką, kłótnia stała się ogólna. Zjawił się dyrektor, śmiejąc się i przygadując pocieszał zasmuconą damę. Wreszcie roześmiała się i ona, i tak kot został zapomniany.

Mieszczanie pawijscy byli zaciekłymi wrogami studentów i podczas ostatnich wakacji ułożyli spisek przeciwko nam. Uchwalili mianowicie pomiędzy sobą na zebraniu że żadna z dziewczyn, które przyjmują u siebie studentów, nie może liczyć na małżeństwo z obywatelem miasta Pawii – a złożono tam czterdzieści podpisów. Uchwała ta obiegła wszystkie domy; matki i córki wpadły w popłoch i natychmiast każdy student stał się dla nich obiektem niebezpiecznym.

Wszyscy czterej moi koledzy byli zdania, że należy się zemścić.

"Jesteś poetą – mówili mi. – Jeśli chcesz zemsty, posiadasz broń o wiele pewniejszą i bardziej groźną niż pistolety i armaty. Jedno celne pociągnięcie pióra może stać się bombą miażdżącą głównego przeciwnika, a wybuchy jej poranią na prawo i lewo jego stronników. Odwagi, odwagi! – krzyczeli wszyscy na raz. – Dostarczymy ci ciekawego materiału, będziesz pomszczony, a my wraz z tobą". (...)

Satyra ta musiała ugodzić drażliwość wielu zacnych i szanowanych rodzin, a na nieszczęście wyposażyłem ją w słone dowcipy i rysy owej vis comica, która miała u mnie wiele naturalizmu, niewiele skromności.

Dwanaście rodzin domagało się zemsty. Zagrażano memu życiu, na szczęście znajdowałem się jeszcze w areszcie domowym. Wielu moich kolegów obrzucono obelgami, Kolegium Papieskie było w stanie oblężenia. Napisano do prefekta. Przybył niezwłocznie, pragnął mnie ratować, napisał do senatora Goldoni. Ten przesłał listy do senatora Erba Odescalchi, gubernatora Pawii. Interweniowano w mojej sprawie u arcybiskupa, który udzielił mi tonsury, u markiza Ghislieri, który podpisał moją nominację. Wszystkie protekcje i wszystkie zabiegi na nic się nie zdały. Musiałem paść ofiarą. Gdyby nie przywilej miejsca, w którym się znajdowałem, zajęłaby się mną sprawiedliwość. Oznajmiono mi, że jestem wykluczony z kolegium i czekano, aż burza się uspokoi, aby mnie bezpiecznie stamtąd wyprawić. (...)

Gdy tak samotnie siedziałem, budując zamki na lodzie, ujrzałem zbliżającą się do mnie kobietę. Lat około trzydziestu, kształtów dość zgrabnych, okrągła i pulchniutka, ze spłaszczonym noskiem i bystrymi oczami. Miała dużo złota na szyi, w uszach, na ramionach i palcach, a strój jej zdradzał kobietę z gminu, lecz zamożną.

Podeszła do mnie i rozpoczęła rozmowę.

"Dzień dobry panu." – "Witam panią." – "Pozwolisz pan, że mu pogratuluję." – "Czego mianowicie?" – "Prezentacji w sądzie. Widziałam pańskie salem aleicum na dziedzińcu. Masz pan doprawdy przepiękną fryzurę." – "Czy nie? Ładny ze mnie chłopak, prawda?" – "Uczesanie nic nie znaczy, pan Goldoni zawsze wygląda wytwornie." – "A więc znasz mnie pani?" – "Alboż nie widziałam pana przed czterema laty, gdy w długiej peruce i krótkiej todze krążyłeś pan po krainie paragrafów?" – "Tak, to prawda, byłem wtedy u prokuratora." – "Tak, u pana Indric." – "Zna pani mego wuja?" – " Czy znam? Znam tutaj wszystkich, począwszy od dozy, a skończywszy na skrybach sądowych." – "Pani jest mężatką?" – "Nie." – "Może wdową?" – "Nie." – "Nie śmiem dalej pytać." – "I dobrze pan zrobi." – (...) "Jestem córką Pałacu Sprawiedliwości i on mnie utrzymuje." – "Tak? To dziwne, a więc jesteś pani córką sądu?" – "Tak, panie. Ojciec mój był tutaj zatrudniony." – "A cóż tu robił" – "Podsłuchiwał pod drzwiami i dostarczał dobrych wiadomości tym, którzy oczekiwali ułaskawień, orzeczeń lub pomyślnych wyroków; miał dobre nogi i zjawiał się zawsze pierwszy. (...) Urodziłam się i wychowałam w tych pozłacanych salach i jak pan widzisz, mam złoto na sobie." – "Jestem poszukiwaczką procesów." – "Poszukiwaczką procesów? Nic z tego nie rozumiem!" – "Czy wiesz pan, że jak mnie tu widzisz, stworzyłam fortunę dobrego tuzina najświetniejszych obrońców palestry? Więc śmiało! Jeśli pan chcesz, stworzę ją i panu."

"A więc, panienko? Czy masz teraz jakąś dobrą sprawę?" – "Tak, panie, mam kilka, mam znakomite. Mam wdowę podejrzaną o ukrycie majątku, inną, która pragnie wykorzystać kontrakt ślubny, zawarty poniewczasie. Mam dziewczęta, które chcą wyprocesować posagi, żony, które chcą wnosić skargi rozwodowe, młodzież z dobrych domów ściganą przez wierzycieli. Jak pan widzi, jest w czym wybierać!". (...) Obie moje wdowy są bogate; będziesz pan dobrze zapłacony, nawet z góry, jeśli sobie tego życzysz." Widzę z daleka, że nadchodzi mój służący, wstaję więc i zwracając się do gadatliwej damy mówię tonem zdecydowanym i stanowczym: "Nie, nie znasz mnie pani, jestem człowiekiem honoru..." Wówczas bierze mnie za rękę i rzecze z powagą: "Brawo! Wytrwaj pan w takim nastawieniu." – "Ach tak? – rzekłem – teraz zaczyna pani z innej beczki..." – "Tak, panie – odparła – a to co mówię teraz, więcej jest warte od tego, co powiedziałam poprzednio. Żegnam pana. Proszę być zawsze roztropnym i uczciwym, a dobrze pan na tym wyjdzie." Odeszła pozostawiając mnie w osłupieniu. Później dopiero dowiedziałem się, że była ona na usługach wywiadu i że przyszła, aby mnie wybadać. Nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć, kto ją do mnie skierował.

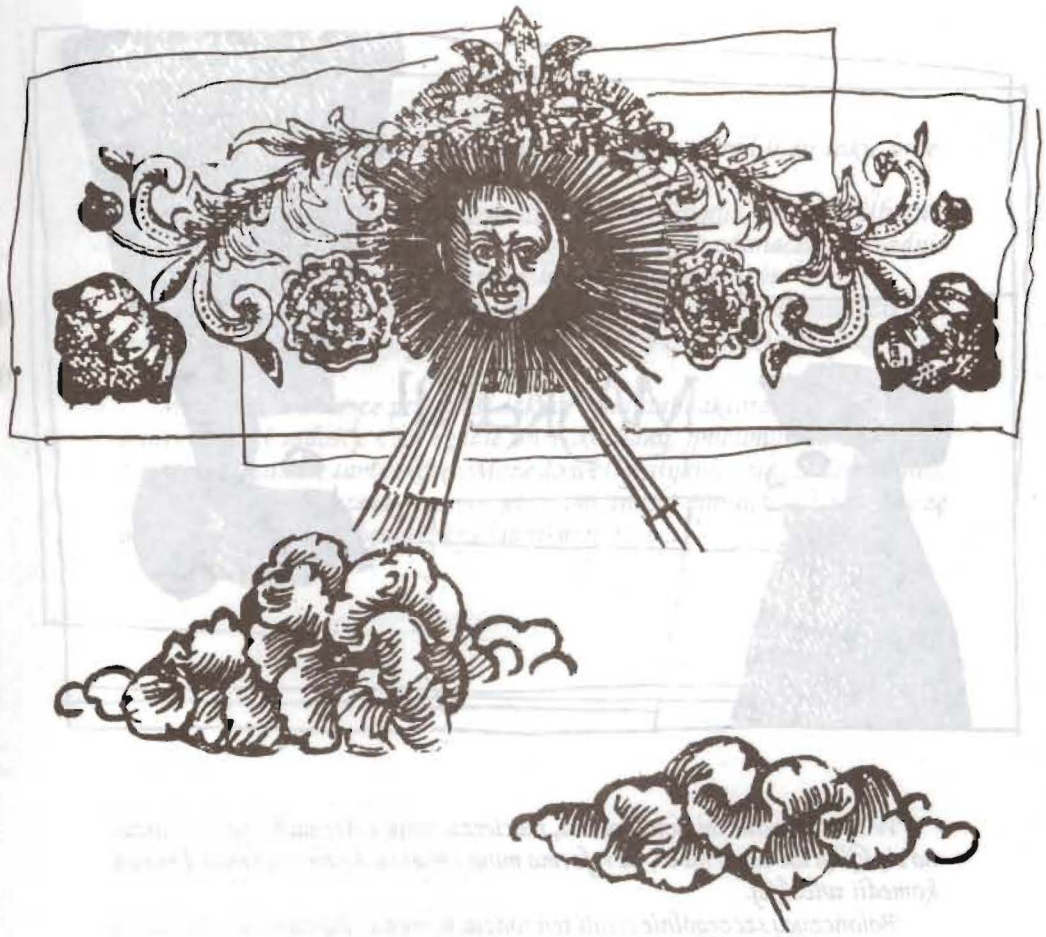

Tak oto wiązałem się coraz bardziej z zawodem przynoszącym mi równocześnie wiele zaszczytu, wiele satysfakcji i pokaźne dochody.

Gdy tak pochłonięty byłem pracą i swoimi zajęciami, nadszedł z Wenecji list, który wprowadził mnie w rozterkę, wzburzył moją krew i wszystkie moje myśli. Był to list od Sacchiego.

Aktor ten powracał właśnie do Włoch. Wiedział, że jestem w Pizie, prosił mnie o komedię, poddawał nawet temat, pozostawiając mi wolną rękę w jego opracowaniu wedle własnej fantazji.

Cóż za pokusa dla mnie! Sacchi był wyśmienitym aktorem, teatr był moją namiętnością. Czułem całą swoją istotą, jak odżywają we mnie dawne zamiłowania, ten sam ogień, ten sam entuzjazm. Tematem, jak mi proponowano, był "Sługa dwóch panów". Wiedziałem, jaki efekt wydobyć mogę z treści sztuki głównego aktora, który miał ją wykonać. Umierałem z ochoty spróbowania raz jeszcze... Nie wiedziałem, co robić... Procesy, klienci, tłumnie napływali... Ale mój biedny Sacchi... Ale "Sługa dwóch panów"... Spróbujmy jeszcze ten jeden raz... Ależ nie... Ależ tak... W końcu piszę list, odpowiadam, zobowiązuję się.

Pracowałem w dzień dla palestry, a w nocy dla teatru. Ukończyłem sztukę, wysłałem ją do Wenecji. Nikt o tym nie wiedział, tylko żona moja dopuszczona była do sekretu. Trapiła się równie jak ja. Biada mi! Jakież noce przeżywałem.

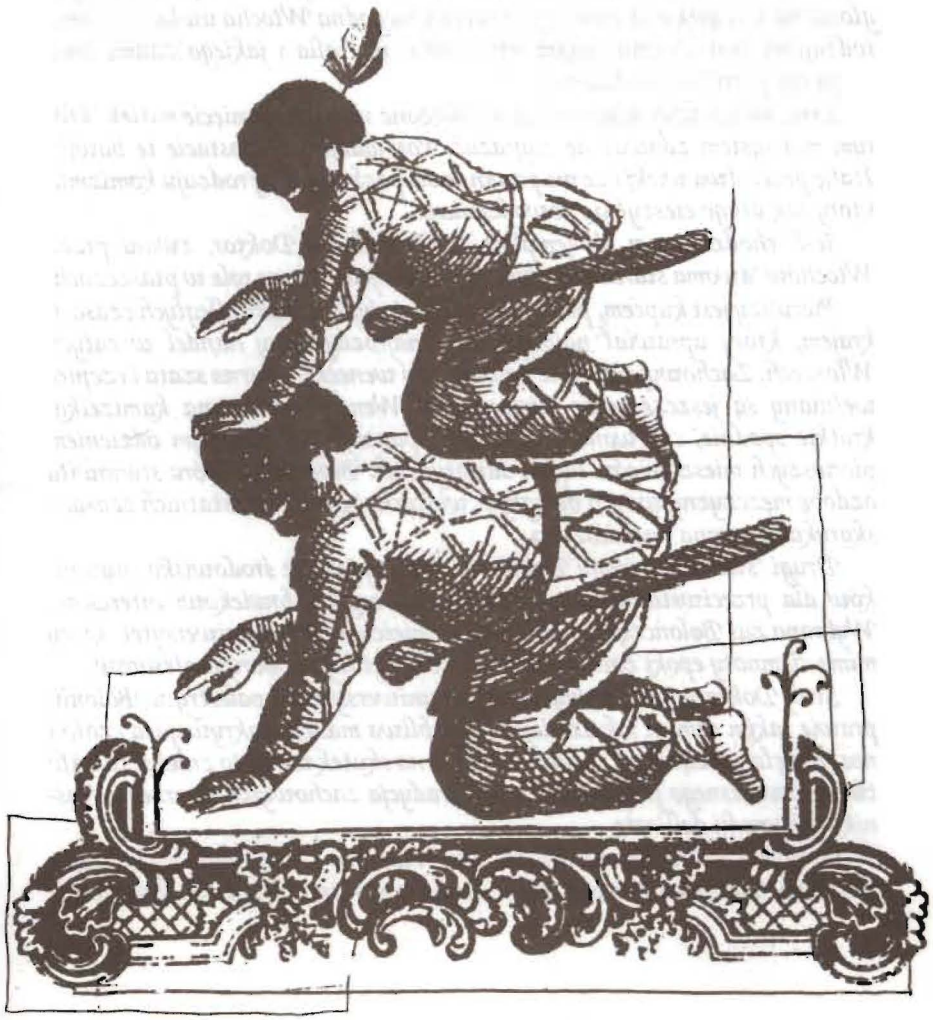

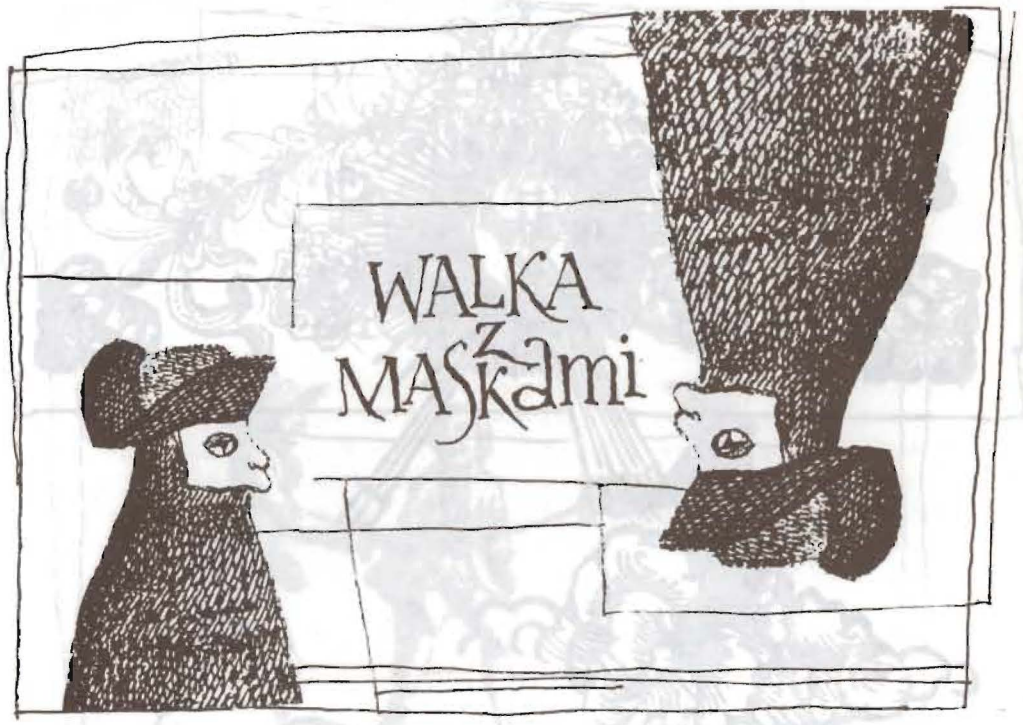

W tym właśnie mieście Bolonii, macierzy nauk i Atenach Italii, skarżono się kilka lat temu na to, że reforma moja zmierza do zniszczenia 4 masek komedii włoskiej.

Bolończycy szczególnie cenili ten rodzaj komedii. Byli wśród nich ludzie zasłużeni, którzy z zamiłowaniem układali sztuki dell'arte, a tamtejsi uzdolnieni obywatele grali je doskonale i znajdowali duże uznanie.

Miłośnicy dawnej komedii widząc, że nowa czyni tak szybkie postępy, głosili na wszystkie strony, iż jest rzeczą niegodną Włocha uwłaczać temu rodzajowi teatralnemu, jakim wyróżniła się Italia i jakiego żadna inna nacja nie potrafiła naśladować.

Lecz najbardziej działało na wzburzone umysły usunięcie masek, którym mój system zdawał się zagrażać. Powiadano, że postacie te bawiły Italię przez dwa wieki i że nie powinno się pozbawiać jej rodzaju komizmu, który tak długo cieszył się powodzeniem.

Jeśli chodzi o typ ról (emploi), to Pantalon i Doktor, zwani przez Włochów "dwoma starcami", wykonują role ojców i inne role w płaszczach.

Pierwszy jest kupcem, ponieważ Wenecja była w tych odległych czasach krajem, który uprawiał najbogatszy i najrozleglejszy handel w całych Włoszech. Zachowuje on stale dawny strój wenecki. Czarna szata i czepiec wełniany są jeszcze teraz używane w Wenecji; czerwona kamizelka, krótkie spodnie, czerwone pończochy i pantofle są zwykłym odzieniem pierwszych mieszkańców lagun adriatyckich. Broda zaś, która stanowiła ozdobę mężczyzny w tych odległych wiekach, została w ostatnich czasach skarykaturowana i ośmieszona.

Drugi "starzec", zwany Doktorem, wzięty jest ze środowiska prawników dla przeciwstawienia człowieka uczonego człowiekowi interesów. Wybrano zaś Bolończyka, ponieważ w mieście tym był uniwersytet, który mimo ciemnoty epoki zachowywał zawsze tytuły i pobory profesorów.

Strój Doktora jest dawnym strojem uniwersytetu i palestry w Bolonii, prawie takim samym jak dzisiejszy. Osobliwa maska, zakrywająca czoło i nos, wzięła początek od zaczerwienienia na skutek wina, co zniekształcało twarz ówczesnego jurysty. Taka jest tradycja zachowywana przez miłośników komedii dell'arte.

Brighella i Arlekin, nazywani we Włoszech i due zani, wzięci są z Bergamo. Pierwszy bowiem jest niezwykle sprytny, drugi zaś kompletnie głupkowaty, a tylko tam właśnie znaleźć można wśród ludu takie przeciwieństwa.

Brighella reprezentuje służącego intryganta, nicponia, oszusta. Ubranie jego jest czymś w rodzaju liberii, jego ogorzała maska zaznacza przesadnie koloryt spalonych żarem słońca mieszkańców wysokich gór.

Sądzę, że dosyć powiedziałem o pochodzeniu i zastosowaniu czterech masek komedii włoskiej; pozostaje mi pomówić o efektach, jakie stąd wynikają.

Maska musi zawsze przynieść szkodę działaniu aktora, tak w oddaniu smutku, jak i radości. Czy będzie on zakochany, gniewny czy śmieszny, zawsze ukazuje "tę samą skórę". Może do woli gestykulować i zmieniać głos, ale nigdy nie da poznać rozmaitych namiętności miotających jego duszę poprzez rysy twarzy będące wykładnikami uczuć.

Był to niejaki "abbe" korespondent dostarczający informacji biskupom niemieckim w sprawach kancelarii papieskiej. Wynajął dla mnie apartament z czterech pokoi, z ośmioma oknami od frontu, wychodzącymi na najpiękniejszą ulicę Rzymu, zwaną Corso.

"Abbe" miał żonę i uroczą córkę. Nie był bogaty, lecz prowadził dobrą kuchnię, i u niego się stołowałem. Miał każdego dnia na stole jakieś danie własnoręcznie przez siebie przyrządzone i nie omieszkał nigdy oznajmić biesiadnikom, że "jest to potrawa dla pana Goldoni, przyrządzona rękami jego sługi", dodając, że "nikt jej nie tknie bez pozwolenia pana adwokata".

Pewnego dnia, gdy wrócił do siebie i dowiedział się, że nie byłem na obiedzie, uniósł się straszliwie i wyłajał moją żonę. "Nikt nie będzie jadł – powiedział – potrawy, jaką przygotowałem dla pana adwokata Goldoni". Wszedł do kuchni, spojrzał ze smutkiem na wyborne dania przyrządzone przez niego tak starannie, z taką przyjemnością. Złość go porwała, wyrzucił kociołek na podwórze. Wracam wieczorem do domu. "Abbe" położył się, nie chce mnie widzieć. Wszyscy śmieją się. Było mi przykro. (...)

Ów wenecki arcykapłan, którego miałem zaszczyt poznać w jego episkopalnym mieście Padwie, a którego wyniesienie opiewała moja muza, przyjął mnie w sposób niezmiernie łaskawy. Zatrzymał mnie przez trzy kwadranse, rozmawiając cały czas o swoich bratankach i bratanicach, zachwycony nowinami, jakich byłem w możności mu udzielić.

Jego Świątobliwość dotknął dzwonka stojącego na stole. Był to dla mnie znak do odejścia. Zacząłem się wycofywać wśród ukłonów i podziękowań. Ojciec Święty wydawał się niekontent; poruszał stopą i ramionami, kaszlał, patrzył na mnie i nic nie mówił. Cóż za roztrzepanie z mojej strony! Zachwycony, olśniony doznanym zaszczytem, zapomniałem o ucałowaniu stopy następcy świętego Piotra. Ocknąłem się ze swego roztargnienia, nachyliłem się – Klemens XIII zasypał mnie błogosławieństwami i odszedłem, ciężko zmartwiony swoją głupotą, a zbudowany jego pobłażliwością.

Rozpocząłem więc i skończyłem w piętnaści dni komedię w trzech aktach prozą, zatytułowaną "Gl'inamorati" ("Zakochani"). Tytuł niczego nowego nie obiecuje, mało jest bowiem sztuk bez miłości, nie znam jednak żadnej, w której występowaliby zakochani tego pokroju, co ukazani przeze mnie. Miłość zaś byłaby najstraszniejszą plagą na ziemi, gdyby czyniła kochanków tak nieszczęśliwymi i pełnymi gniewu jak dwie główne postacie mojej sztuki.

A jednak znałem ich pierwowzory. Widywałem ich w Rzymie, byłem przyjacielem i powiernikiem obojga. Byłem świadkiem ich pasji, ich czułości, a często wybuchów gniewu i śmiesznych wprost uniesień.

Słyszałem wielokrotnie ich kłótnie, krzyki, ich rozpacz, widziałem darte chusteczki, rozbijane lustra, dobyte noże. Kochankowie moi są szaleni, lecz niemniej prawdziwi. Więcej jest prawdy niż prawdopodobieństwa w tym utworze – przyznaję to – lecz sądzę, że z rzeczywistych faktów stworzyłem obraz, który jednych pobudził do śmiechu, a innych napełnił trwogą.

Do Francji wzywano mnie tylko na dwa lata, przeczuwałem jednak, że raz opuściwszy ojczyznę, będę miał trudności z powrotem.

Mówiłem z moimi przyjaciółmi i protektorami w Wenecji. Wykazałem im, że nie uważam wyjazdu do Francji za wycieczkę rozrywkową, lecz że zmusza mnie do tego rozsądek i chęć zapewnienia sobie bytu.

Osobom, które zdawały się pragnąć, abym pozostał w Wenecji, nadmieniłem, że posiadając wykształcenie adwokata, mogę pretendować do wszelkiego rodzaju posad, nawet do stanowiska w Magistraturze, a zakończyłem deklaracją, równie szczerą jak stanowczą, że jeśli zechcą zapewnić mi byt w Wenecji, wybiorą raczej moją ojczyznę niż całą resztę świata.

Wysłuchano mnie z uwagą i zainteresowaniem. Uznano, że refleksje moje są słuszne, a postępowanie uczciwe. Wszyscy obecni podjęli się wyszukać jakieś pomyślne dla mnie rozwiązanie. W mojej sprawie odbyło się kilka zebrań. A oto ich wyniki.

W kraju republikańskim stanowiska przyznawane są jedynie na podstawie większości głosów. Kandydaci muszą długo się ubiegać, zanim przejdą przez głosowanie, a co się tyczy pensji, to przy większym napływie ubiegających się umiejętności doraźnie użyteczne zawsze wezmą górę nad talentami artystycznymi. Wystarczyło to, abym postanowił więcej o tym nie myśleć.

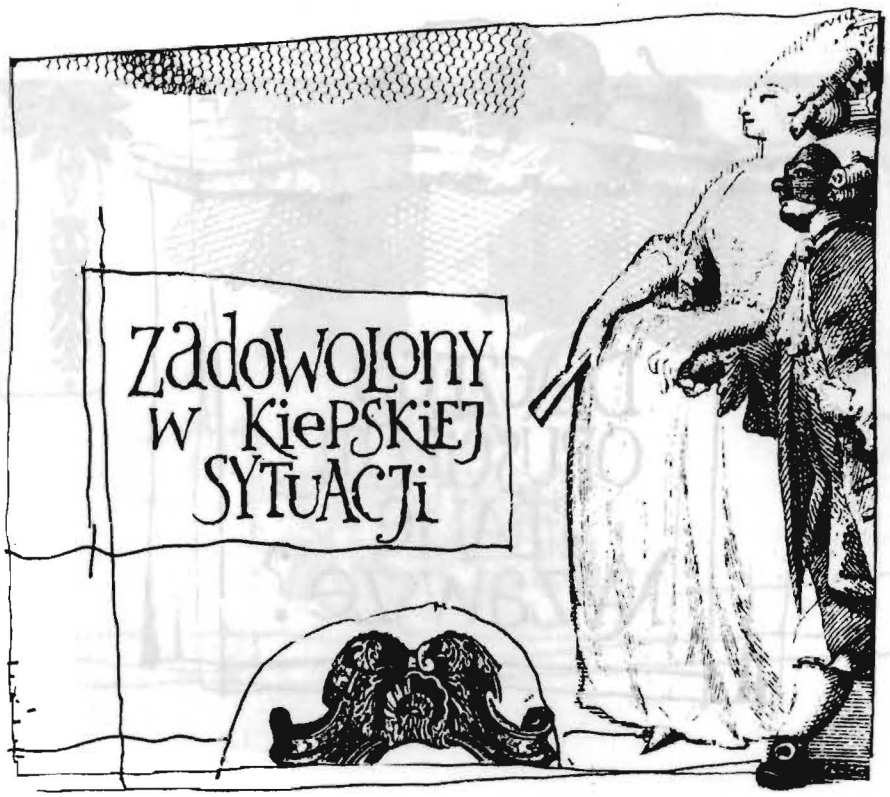

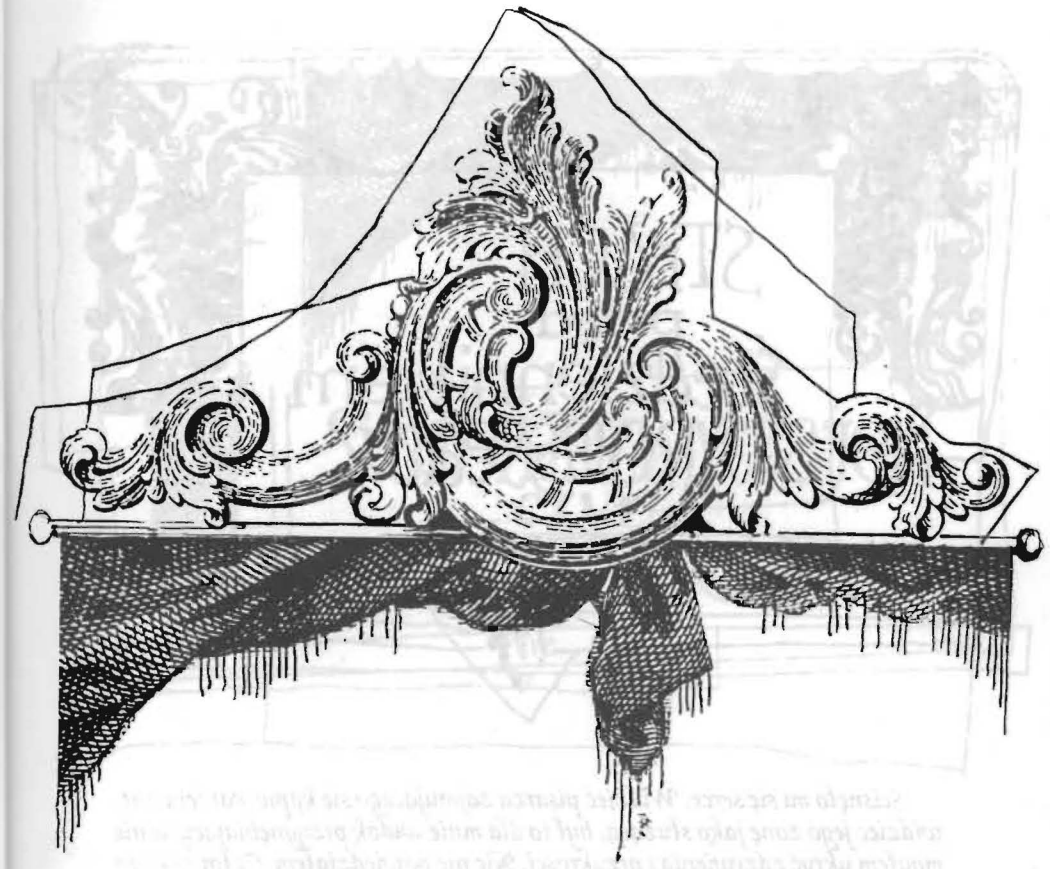

Nudny jest człowiek nie życie! Panie Goldoni.

Mówi się zwykle w Paryżu, że życie w Wersalu jest smutne, że jest tam nudno i nie wiadomo, co z sobą robić. Mogę dowieść czegoś wręcz przeciwnego. Ci, co nie lubią swego zajęcia, będą się nudzić wszędzie, ci, co znajdują w nim przyjemność, czują się równie dobrze w Wersalu, jak gdzie indziej, ci zaś, którzy nie mają nic do roboty, mogą zapełnić poranki w sposób przyjemny lub pożyteczny, czy to w zamku, czy w jego biurach, czy w parku, i wszędzie znajdą ciekawe rzeczy i rozmaite rozrywki.

Po południu natomiast szuka się uciech towarzyskich, a w pewnej mierze można je mieć równie dobrze w Wersalu, jak w Paryżu. Znajdą się tam stoły gier, koncerty, rozmowy literackie, z tą różnicą, że w Paryżu brak nam nieraz towarzystwa, jakiego szukamy, a to z powodu dużych odległości. W Wersalu ma się je pod ręką, a biedni piechurzy nie potrzebują pozostawać z konieczności w domu lub też rujnować się na powozy.

Ścisnęło mi się serce. Widzieć pisarza zajmującego się kopiowaniem nut, widzieć jego żonę jako służącą, był to dla mnie widok przygnębiający, a nie mogłem ukryć zdziwienia i przykrości. Nic nie powiedziałem. Człowiek ten nie był głupi, spostrzegł, że coś się rozgrywa w moim umyśle. Zapytał mnie o to. Byłem zmuszony wyznać mu przyczynę mego milczenia i pomieszania.

"Jak to – rzekł – żałujesz mnie pan, że zajmuję się przepisywaniem. Czy sądzisz, że lepiej byłoby dla mnie pisać książki, których nie umieją czytać, albo dostarczać artykułów złośliwym dziennikarzom? Jesteś pan w błędzie. Lubię namiętnie muzykę, kopiuję świetne utwory, zarabiam tym na życie, bawi mnie to. Czegóż chcieć więcej? – Lecz pan – co pan sam robi? – Przyjechałeś pan do Paryża, aby pracować dla Komedii Włoskiej. To leniuchy, nie chcą pańskich sztuk. Jedź pan stąd, wracaj do siebie. Wiem, że pragną tam pana, oczekują..."

"Masz pan słuszność – rzekłem przerywając mu. – Powinienem był opuścić Paryż z racji niedbalstwa włoskich aktorów, ale zatrzymały mnie tu inne widoki. Układam obecnie sztukę po francusku..." – "Napisałeś pan sztukę po francusku – podjął ze zdziwioną miną. – Cóż z nią chcesz zrobić?" – "Wystawić ją w teatrze". – "W jakim teatrze?" – "W Komedii Francuskiej." – "Zarzucałeś mi pan, że tracę czas. To pan właśnie go traci całkiem bezowocnie..." –

"Moja sztuka została przyjęta". – "Czyż to możliwe? Nie dziwię się zresztą. Aktorzy nie mają zdrowego rozsądku, przyjmują i odrzucają na chybił trafił. Jest przyjęta, być może, ale nie będzie grana, a jeśli ją zagrają, tym gorzej dla pana". – "Jak może pan osądzać sztukę, nie znając jej?" – "Znam smak Włochów i Francuzów, zbyt są od siebie dalekie. A z przeproszeniem w pańskim wieku nie zaczyna się pisać i komponować w obcym języku." – "Uwagi pańskie są słuszne, ale trudności można przezwyciężyć. Pokazałem mój utwór znawcom, ludziom światłym, i zdawali się zeń zadowoleni." – "Schlebiają panu, oszukują, wystrychną pana na dudka. Pokaż pan swoją sztukę mnie. Jestem szczery, jestem rzetelny, powiem panu prawdę."

Rousseau był dziwakiem, sam się z tym zdradził w kłótni ze swoim przyjacielem. Wystarczyło, aby przypisał sobie dobroczynność, a powiedziałby, że to jego samego chciałem ukazać w "Dobroczynnym mruku". Nie chciałem narażać się na znoszenie jego złych humorów i więcej go nie widziałem.

Po obiedzie nie lubię pracować ani przechadzać się. Czasem idę do teatru, a najczęściej gram swoją partyjkę do dziewiątej wieczorem. Wracam zawsze przed dziesiątą, zjadam dwie lub trzy diablotki z szklanką wody z winem, i oto cała moja kolacja. Rozmawiam do północy z moją żoną. Zimą zasypiamy w łóżku małżeńskim, latem w dwóch łóżkach bliźniaczych w jednym pokoju. Zasypiam bardzo szybko i spędzam noc spokojnie.

Zdarza mi się czasem, jak i każdemu, mieć zajętą głowę czymś, co zdolne jest opóźnić mój sen. W takim wypadku mam pewny środek, aby zasnąć. A oto on:

Planowałem od dawna wydanie słownika dialektu weneckiego i nawet zawiadomiłem o tym publiczność, która nadal go oczekuje. Pracując nad tą nudną i wstrętną robotą ujrzałem, że zasypiam. Rzuciłem ją i skorzystałem z jej narkotycznych właściwości.

Z książki

Carlo Goldoni, "Pamiętniki", przełożyła Maria Rzepińska, PIW, Warszawa 1958. Tytuły i skróty pochodzą od redakcji programu.

Kierownik techniczny
Marek Matuszak

Perukarnia
Czesława Doroszkiewicz

Pracownia krawiecka damska
Bożena Gawrońska, Janina Majchrzak

Pracownia krawiecka męska
Jarosław Trzeciak, Tomasz Sierchuła

Pracownia tapicersko–dekoracyjna
Jacek Szopa

Pracownia ślusarska
Jan Czarnecki

Pracownia stolarska
Roman Wrzesiński

Pracownia modelatorska
Leszek Zieliński

Główny elektryk
Jerzy Jeziorski

Akustyk
Paweł Walczak

Brygadzista sceny
Brunon Urbaniak

Rekwizytor
Leszek Kellner

Kierownik Biura Obsługi Widzów
Krystyna Kaziród

Redakcja programu
Milan Kwiatkowski

Opracowanie graficzne
Ryszard Kaja

Wydawca programu: Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu
ul. Dąbrowskiego 5, 60–958 Poznań, tel. 481–241
Skład komputerowy: Fundacja Teatru Nowego
ul. Dąbrowskiego 5, 60–958 Poznań, tel. 481–305

GŁOS WIELKOPOLSKI

ORAZ WYDANIA REGIONALNE:
GŁOS GNIEŹNIEŃSKI
GŁOS KALISKI I OSTROWSKI
GŁOS KONIŃSKI
GŁOS LESZCZYŃSKI
GŁOS PILSKI

- najstarszy i największy dziennik w Poznaniu i Wielkopolsce
- kronika życia regionu
- forum prezentacji poglądów na tematy polityczne, gospodarcze, kulturalne i obyczajowe
- korespondenci zagraniczni w Europie, Afryce i Ameryce Północnej
- rozwinięty dział ogłoszeń i reklam
- co piątek TELEMAGAZYN - kolorowy dodatek "Głosu"

WYDAWCA
Oficyna Wydawnicza "Głos Wielkopolski" ul. Grunwaldzka 19, 60-959 Poznań
tel. 47-54-09, fax 47-30-73, tlx 0413410

BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAM
ul. Grunwaldzka 19, 60-959 Poznań, poniedziałek - piątek 8.00 - 18.00
tel. 66-66-81, fax 65-96-72, tlx 0413410

HOTEL WIELKOPOLSKA

67 św. Marcin St., 61-806 Poznań
tel. 04861/527631
tlx 0413710

WE INVITE YOU

HOTEL LECH

74 św. Marcin St., 61-809 Poznań
tel. 04861/530151, fax 04861/530880
tlx o413660

EKSKLUZYWNA RESTAURACJA

TAROT GRILL

- Fondu,
- dania z grilla,
- piwo Lauterbacher.

Organizujemy także przyjęcia okolicznościowe.

Czynne całą dobę. Tel. 484 881
ul. Poznańska 57
(narożnik Roosevelta)

AGENCJA EUROSTOP opty

EUROSTOP-OPTY
BIURO PODRÓŻY

czynne:
pon,-piątek: 9.30-17.00
sobota: 10.00-13.00

60-835 POZNAŃ
ul. Dąbrowskiego 9/11
tel./fax 483 555, 483 556
tlx 41 34 85

- bilety autokarowe do ponad 200-stu miast w Europie,
- wczasy i wycieczki krajowe oraz zagraniczne,
- bilety lotnicze.

PROMAG

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI HANDLU I USŁUG "PROMAG" SA

ul. Szyperska 22, 61-120 Poznań
tel. 528081, tlx 413296 prog pl, fax 524618

KOMPLEKSOWE WYPOSAŻANIE MAGAZYNÓW I SKLEPÓW
(REGAŁY, PALETY, POJEMNIKI itp.), URZĄDZENIA TRANSPORTU WEWNĘTRZNEGO
OPROGRAMOWANIE UŻYTKOWE OBROTU MAGAZYNOWO - MATERIAŁOWEGO
SERWIS GWARANCYJNY I POGWARANCYJNY, ORYGINALNE CZĘŚCI ZAMIENNE
WYPOŻYCZANIE WÓZKÓW

HYUNDAI
SELKO INDUSTRIES

HYUNDAI SELKO INDUSTRIES LTD

Firma jest wyłącznym dystrybutorem produktów koreańskiego koncernu. Oferta obejmuje całą gamę produktów: od półprzewodników porzez komputery PC i notebooki aż po Spark Workstation. W ofercie znajdują się również monitory, drukarki, modemy oraz systemy telefoniczne.

HYUNDAI SELKO INDUSTRIES LTD
00-762 Warszawa, ul.Belwederska 20/22, Tel. 41-19-77, 41-40-05, Fax 41-36-08

Instytut Teatralny
ze zbiorów Polskiego Ośrodka ITI

LOŻA PATRONÓW TEATRU NOWEGO

Jerzy Adamczak
Władysław Balicki
Magdalena i Józef Bejnarowiczowie
Tadeusz Ciesielski
Izabella Cywińska
Łukasz Domański
Ireneusz Dreczkowski
Lucyna Gandl
Aleksander Gawronik
Krystyna i Włodzimierz Gola
Monika i Bogdan Gruchmanowie
Krystyna i Krzysztof Jakubowscy
Zbigniew Jaśkiewicz
Zdzisław T. Kałek
Anna i Andrzej Kareńska-Tschurl
Anna i Jerzy Kolasińscy
Ligia Kraszewska
Ewa i Wojciech Krukowie
Grażyna i Janusz Kulczykowie
Ryszard Ławniczak
Dariusz Maciejewski
Elżbieta i Leszek Markiewicz
Alan Mayhew
Ryszard Meysner
David Ney
Andrzej Nowakowski
Tomasz Nowicki
Jerzy Perkitny
Jerzy Retelewski
Mariusz Słowiński
Stanisław Sołtysiński
Mariola i Radosław Spychalscy
Jerzy Strugała
Wanda i Romuald Szperlińscy
Krystyna Tomczyszyn
Klaus Veil
Piotr Voelkel
Wacław Wilczyński
Andrzej Wituski
Gizela i Paweł Żegota-Rzegociński

Wspiera finansowo, organizacyjnie
i duchowo działalność teatru.

HENGRAF Henryk Dondajewski Przygotowalnia offsetowa, Poznań, ul. Keplera 5 ☎ 624-390

Zakład Poligraficzny Z. Cichosz, Poznań, ul. Krzywińska 16, ☎ 322-852